TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Vol. 3. Nr. 42 (147) Nowy Jork, 28 października — New York, 21, N. Y., October 28th, 1945 Cena 20 ct.



DROGA NA ŚLĄSKU

PO ZJEŹDZIE W DETROIT

Zjazd Rady Naczelnej Kongresu Polonji odbyty w zeszłym tygodniu w Detroit miał znaczenie podwójne, zarówno wielkie: znaczenie dla Polonji samej i dla Polski. Kiedy przed półtora rokiem Kongres zawiązywał się na pamiętnym, historycznym sejmie w Buffalo, wystąpił on odrazu pod dwoma zasadniczemi hasłami i jest dowodem jego pracy świadomej i skutecznej, że pierwszy bilans jego wysiłku zamyka się istotnemi osiągnięciami w obu zarazem tych kierunkach.

Wyprowadzić sześciomiljonową masę polską w Ameryce na miejsce należne jej ze względu na jej ilość, na jej siłę biologiczną, na jej ofiarność i pracę — to było jedno hasło. Walczyć wszystkiemi dostępnemi środkami z niewolą Polski — było to hasło drugie.

Kilkanaście miesięcy zaledwie przeszło od sejmu w Buffalo, a bez przesady i patosu powiedzieć można, że oba te hasła przeszły z podświadomości wszystkich Polaków w Ameryce w ich myśl świadomą i świadome działanie. Pod względem politycznym, jako element amerykańskiego życia wewnętrznego Polonja jest coraz więcej wartością, z którą obie partje, administracja, opinja liczą się jako z całością, jest czemś naprawdę innem niż przed Buffalo. Polonja występując do akcji politycznej w obronie Polski nietylko, że, jak to ludzie krótkowzroczni i właściwie nie rozumiejący struktury życia amerykańskiego krakali, nie zacieśniła się w sobie, ale wyszła właśnie na szeroką amerykańską arenę, umocniła swą pozycję amerykańską, oddała nieocenione usługi Ameryce samej.

Co sprawy polskiej — to stały się przez ten czas tragiczne fakty dokonane, zaszły nieszczęścia, jakich dotąd Polska nie doznała w ciągu swej tak trudnej historji. Ale przyznać trzeba, że Polonja straciwszy dwa lata przed zawiązaniem się Kongresu, płacąc nieuchronny haracz niedoświadczenia i politycznego terminowania w tych kilkunastu decydujących miesiącach, uczyniła przecież dla Polski wysiłek uczucia, myśli i czynu olbrzymi, uczyniła w intencjach wszystko, a w usiłowaniach bardzo wiele, aby Polskę obronić.

Pan Karol Rozmarek rozpoczynając swoją wielką polityczną rolę w Buffalo z całą świadomością szedł, on i cały Zarząd Kongresu w służbę tych dwu wielkich haseł.

Stawał on na czele wtedy dla siebie nowej, a jakże niełatwej roboty jako primus inter pares, któremu zgodnie, w imię zgody niezbędnej i twórczej oddali tę godność wszyscy znani i nieznani, wielcy i mali, co dla ideałów przez Kongres głoszonych poświęcali czas, zdrowie, mienie i nieraz życie.

Pan Rozmarek stał się wyrazicielem ich wszystkich, głosem instynktu Polonji całej, rozumiejącej, że nie będzie ona miała nigdy prawdziwego znaczenia w Ameryce, jeśli nie będzie Polski silnej i naprawdę wolnej, jak też, że obrona Polski przez Polonję nie jest to żadna manifestacja uczuciowa tylko prawdziwa wielka polityka, która będzie ważyła na losach Polski i będzie wpływać na życie Ameryki. Jeśli kto nie chowa w pamięci tych niezliczonych wielkich i mniejszych wystąpień, jakich Kongres dokonał broniąc Polski w najtragiczniejszych dniach jej historji, jeśli, biorąc pod uwagę, straszny jej los skłonny jest niedoceniać tego wysiłku, wystarczy aby zajrzał do odczytanych w Detroit sprawozdań a przekona się, wiele przecież zrobiono, jak czujnie odpowiadano na każde zagrożenie Polski, na każdą jej krzywdę i jak też dzięki istnieniu Kongresu i jego wciąż mocniejszemu działaniu — cementowała się Polonja w jedność nie uczuciową tylko, ale polityczną i społeczną.

Kongres Polonji nie zapobiegł, bo nie mógł zapobiec rozbiorom i niewoli Polski. Chodzi o to, że dziś, gdy Rząd Polski wytrącone ma z ręki najważniejsze narzędzia politycznego działania, gdy Polska nieszczęsna odgrodzona od nas przez NKWD, wojska sowieckie, opuszczona przez wszystkich — nie może nietylko działać, ale nawet wołać o swej strasznej krzywdzie, jest jednak na świecie masa wolna, masa silna, mająca wielkie środki czynu, gotowa ich użyć, nie zdesperowana o przyszłości i stanowcza w woli dalszej walki o przywrócenie wolności Polsce, a z nią całej Wschodniej Europie.

Zjazd w Detroit, mimo, iż musiał z bólem patrzeć na rok ubiegły, rok Jałty i Poczdamu, patrzał przedewszystkiem w przyszłość tych zadań, które teraz już tylko Polonja podjąć może, patrzał na krąg bezmiernie rozszerzających się jego obowiązków. Do nieważnych, nieuchronnych niedociągnięć nie wróci się — to przywilej doświadczenia; chodzi o to, jak sprostać tej odpowiedzialności nowej, tylekroć od dotychczasowych cięższej, tej nowej roli w historji Polski wręcz przełomowej, tak samo jak w życiu Polonji i istotnie ważnej w życiu Ameryki.

Pan Franciszek Januszewski, vice-prezes Kongresu, witając Zjazd w wielkim programowym artykule "Dziennika Polskiego" dał w nim nietylko obraz tego, co się stało z Polską, Europą i z hasłami tej wojny, nietylko streścił zadania polityczne, przed Kongresem dziś stojące, ale co najważniejsza dał czytelnikom tego artykułu sugestję wielkości tego czego mają dokonać, sugestję, że Kongres jest potencjalną potęgą polityczną i że powinien i może stać się nią naprawdę. Hasło miljonowego budżetu, rzucone na Kongresie przez Zarząd i uchwalone przez Izbę, nie jest bynajmniej tylko organizacyjnego znaczenia, nie jest to tylko zagadnienie gospodarcze. Jest ono krokiem na tej nowej drodze Kongresu, jest ono wyrazem zrozumienia przez Polonję, że jeśli Amerykanie-Polacy mają swą wielką rolę w Ameryce odegrać, jeśli mają też zastąpić dla Polski to wszystko, czego została pozbawiona, a co da się poza jej granicami odtworzyć, rzeczywistość Kongresu nie może się obracać w sumach, któremi operują tutaj prowincjonalne zrzeszenia, że musi ona dysponować wielkiemi środkami, bez których w Ameryce nie robi się wielkich rzeczy. Zjazd w Detroit zamanifestował mocno zupełną jedność Polonji, zawsze niewątpliwą jeśli chodzi o uczucia, ale nieraz trudną do osiągnięcia przy politycznych wahaniach czy niewyrobieniu. Tym razem w przeddzień wizyty agentów Bieruta w Waszyngtonie było pewne, że nikt z Polonji nie będzie z nimi mówił, że nikt im ręki nie poda, że sławny czy raczej niesławny plagjator warszawski będzie musiał przekradać się chyłkiem wśród Polaków i lękać się, aby nie był poznany i przywitany jak należy.

Kongres wyłączając z czołowego swego szeregu tych którzy prowadzili politykę, niezgodną z wolą Kongresu i czuciem całej Polonji, dał tem dowód nietylko ożywiającego go ducha naprawdę parlamentarnej odpowiedzialności. Powiedział w ten sposób zarazem, że nie zna wahań, gdzie jest w sprawie polskiej prawda, gdzie i jak iść, aby wypełnić owe naczelne zadanie Kongresu: *przez jedność i siłę Polonji do wolności Polski, do zachowania wolności w Ameryce.*

WCZORAJ — JAK DZISIAJ



Wojciech Kossak *Kozacy na ulicach Warszawy 1863*

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

MATKA POLEGŁYCH

Kto was policzy, zaginieni,
I bezimiennych kto spamięta?
— Krzywda, co w okno na jesieni
Liściami tłucze, zmowa święta.

Ostatni powój na poddaszu
I pod ścianami głóg czerwony
Do szyby wargą przylgnie naszą:
Tam jeszcze krwawi ktoś raniony.

Ugorna ziemia, sucha połać,
Co piła krew żołnierskiej rany,
Będzie pociemku do was wołać:
Tam zbudził się ktoś pogrzebany.

O jakiejś porze, w jakimś domu,
Skąd dzieci się na świat rozbiegły,
W drzwi zastukamy pokryjomu:
Otwórzcie, wraca wasz poległy.

Nikt się nas wtedy nie przestraszy
A nieugięta do ostatka
Kulę z przebitej czaszki naszej
Zgrubiałą ręką wyjmie matka.

Przyniesie leki i bandaże,
Pochowa szczątki naszej broni
I czarną kulę nam pokaże
Na wyciągniętej prosto dłoni.

I ran doszuka się w drelichu,
Policzy wszystkie i spamięta:
Krzywda, co szerzy się pocichu,
Matka pamięci, zmowa święta.

STANISŁAW STROŃSKI

BEATUS QUI TENET

(dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

W sporach prawnosądowych, obok ważnej okoliczności kto ma słuszne prawo do czegoś, za niemniej ważne jest pospolicie uważane kto ma rzecz w ręku. Szczęśliwy kto dzierży — mówi ta zasada z prastarych i murowanych doświadczeń — *beatus qui tenet.* Tamten wysila się na wykazanie swych praw zupełnie nawet niewątpliwych, a ten przewleka, bo tymczasem ma w garści i robi co chce.

Jaskrawe niepowodzenie trzytygodniowych prac Rady Ministrów Spraw Zagranicznych w Londynie, od 11 września 1945 do 2 października 1945, nietylko wywarło wielkie wrażenie w świecie, ale nawet odczute zostało jako pierwsze niemal, w łańcuchu (dla innych) cackań się amerykańsko-brytyjsko-rosyjskich, powodzenie w oporze zachodnim w imię prawa przeciw bezprawiu wschodniemu.

Powodzenie, tak, niewątpliwie, nawet bardzo stanowcze, na wysokościach prawa. Ale . . . Niżej, na ziemi środkowo-wschodnio-europejskiej, poza żelazną zasłoną od ujścia Łaby do Trjestu, w rzeczywistości życia, nic a nic się nie zmieniło i Rosja włada tam nad dziesięcioma narodami i przeszło stumiljonową ich ludnością niepodzielnie i samowolnie.

W nieszczęsnym tym obszarze, podbitym i zajętym wojskowo przez Rosję pod koniec wojny, od Krajów Bałtyckich, poprzez Polskę, Czechosłowację, Austrje i Węgry, po Kraje Bałkańskie, częściowo wcielonym do ZSRR a częściowo poddanym rządom osadzonym przez Moskwę, nie istnieje prawo i bezpieczeństwo, nie istnieje mienie i własność, wywożone dowolnie do Rosji, nie istnieje wolność obywatelska, nie istnieje niepodległość narodów.

Wyłączne władanie Rosji, po zakończeniu działań wojennych, w tym wielkim i tak twórczym od wieków obszarze środkowo-europejskim, nad Bałtykiem, nad Wisłą, nad Odrą, nad Łabą, nad Dunajem, nad Adrjatykiem, jest bezwstydnem bezprawiem nietylko z ogólnego stanowiska międzynarodowego lecz także ze stanowiska ścisłych zobowiązań Rosji w ciągu tej wojny, zarówno w Karcie Atlantyckiej z r. 1941, jak nawet na Krymie jeszcze w lutym 1945 nie mówiąc już o nowych zapowiedziach ładu, prawa i wolności w świecie według Karty Narodów Zjednoczonych z San Francisco 26 czerwca 1945.

Nawet bowiem w Oświadczeniu o Uwolnionej Europie (Declaration on Liberated Europe) stanowiącem część uchwał krymskich z 12 lutego 1945, a odnoszącem się do wszystkich krajów uwolnionych z najazdu niemieckiego, nie wyłączając takich które wciągnięte były przez Niemcy do współdziałania wojennego z niemi, zapowiedziano, że trzy rządy W. Brytanji, Stan. Zjedn. Ameryki i ZSRR będą działały, na rzecz stworzenia rządów w tych krajach i ich przejścia w pracę pokojową, łącznie:

". . . the three Governments will *jointly* assist European liberated States or former Axis satellite States . . ."

I następnie raz jeszcze podkreślono łączną w tym względzie odpowiedzialność (the *joint* responsibilities) trzech mocarstw.

Wbrew tym wyraźnym postanowieniom i zobowiązaniom Rosja rządzi w Europie na wschód od zasłony między Bałtkiem a Adrjatykiem zupełnie sama i nie chce tam dopuścić nikogo. To jest sednem jej polityki. Ma to w ręku, robi tam co chce, unika wszelkich postanowień odmiennych, nie godząc się na nic poza uznaniem przez wszystkich jej własnej wyłączności.

W tem najistotniejszem znaczeniu Rosja wyszła z narad w Londynie obronną ręką. Cały świat jest na nią obarzony. Ale nic nie postanowiono i w Europie Srodkowo-Wschodniej Rosja nadal włada sama.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Dotychczasowe doświadczenia utrwalały Rosję w przekonaniu, że może nie ustępywać, a ustąpią inni. Tak było w sprawie tworzenia t. zw. nowego rządu w Polsce, w myśl postanowień Trójki w Jałcie na Krymie; W. Brytanja i St. Zj. Ameryki upierały się, że to ma być nowy rząd, a nie lubelski z nieznacznymi dodatkami. aż . . . cztery miesiące, do czerwca 1945; a wtedy zgodziły się na pozorne zmiany bez żadnej wagi i wartości. Rzecz w tem, by obecnie nie powiodła się Rosji jej polityka przetrzymywania i przewlekania na podstawie zasady *beatus qui tenet.*

Jeśli to się nie zmieni, nic się nie zmieni.

STEFAN MIERZWA

O PROFESORZE ROMANIE DYBOSKIM



Śp. Prof. Roman Dyboski

Nikt chyba z pośród uczonych polskich w okresie przedwojennym nie był tak dobrze znany, ceniony i kochany przez Polonję Amerykańską jak ś. p. Profesor Roman Dybowski. Prawdopodobnie nie wielu też miało więcej przyjaciół i znajomych w sferach uniwersyteckich krajów anglosaskich jak ten "ambasador kultury polskiej" i najznakomitszy anglista Polski Odrodzonej.

By móc chociaż w zarysie podać barwny życiorys tego niepospolitego człowieka — jego studja w kraju i zagranicą, jego działalność społeczną, naukową i literacką, jego siedem lat w Rosji i na Syberji, jego wykłady o Polsce w Anglji i Stanach Zjednoczonych, jego współudział w różnych kongresach międzynarodowych — trzebaby napisać nie artykuł ale przynajmniej dużą książkę. W ramach niniejszego artykułu mogę podać najwyżej kilka biograficznych danych i może kilka wrażeń wynikających z bezpośredniego z nim kontaktu.

Roman Dyboski urodził się w Cieszynie na Śląsku w r. 1883 — a więc w chwili zgonu w dniu 1-go czerwca, b. r. liczył lat 62. Chociaż podkreślał nieraz nasze wspólne "chłopskie" pochodzenie (w przeciwstawieniu do "starych, zasłużonych rodzin"), jednak pochodzenie to, w jego wypadku, było trochę oddalone. Albowiem ojciec jego, ś. p. Dr. Antoni Dyboski, był już rejentem w Cieszynie, był sekretarzem Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego, jednym z założycieli Domu Narodowego w Cieszynie oraz prezesem Tow. Czytelni Ludowej i Sokoła. Był również kawalerem orderu papieskiego Św. Grzegorza. Podobno dziadek jego nazywał się Dyba. Nie pamiętam już, czy ta wiadomość pochodzi z jego ust czy z innych — może mylnie poinformowanych źródeł.

Szkołę powszechną oraz gimnazjum Roman Dyboski ukończył w swojem rodzinnem mieście, Cieszynie. Pierwszy rok studjów uniwersyteckich (1901-02) ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wśród jego profesorów byli Wilhelm Creizenach, Maksymiljan Kawczyński i słynny Kazimierz Morawski. Tamże zapoczątkował naukę języka angielskiego u lektora Michała Dziewieckiego, tłómacza na język angielski, wśród innych dzieł literatury polskiej, "Chłopów" Reymonta. Następne trzy lata studjów uniwersyteckich, specjalizując się w zakresie języka i literatury angielskiej, odbył w Uniwersytecie Wiedeńskim (1902-05) i tamże zdobył stopień doktora filozofji. Na studja uzupełniające w swej specjalności wyjechał do Anglji, gdzie spędził dwa lata w bibljotekach i uniwersytetach angielskich jak: Londyn, Oxford i Cambridge.

Po tak gruntownem przygotowaniu, karjera naukowa w jego specjalności była otwarta. Rozpoczął ją jako docent języka i literatury angielskiej na Uniwersytecie Wiedeńskim (1908), następnie jako docent (1908-11), profesor nadzwyczajny (1911-14), a od roku 1922 jako profesor zwyczajny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Lata 1914-1922 spędził w Rosji i na Syberji jako jeniec wojenny (zob. jego książkę pod tym tytułem*). W roku szkolnym 1930/31 był Dziekanem Wydz. Filozoficznego. W okresie międzywojennym był kilkakrotnie w Anglji z wykładami o Polsce i dwa razy w Stanach Zjednoczonych — w r. 1928/29 jako profesor wymienny pod egidą Fundacji Kościuszkowskiej a w jesieni r. 1929 powtórnie jako członek delegacji polskiej na 150-tą rocznicę śmierci Kazimierza Pułaskiego.

Produkcję naukowo-literacką Profesora Dyboskiego można określić dwoma słowami: liczna i różnorodna. Pisząc te słowa mam przed sobą stos jego książek i różnych prac drobniejszych. Wszystko co się tyczy dorobku Polski z okresu tysiąclecia, w najróżnorodniejszych jego objawach, znajduje tu odźwierciedlenie — i to w najróżnorodniejszych formach w książkach, w recenzjach książek innych autorów, w artykułach do czasopism i encyklopedji, w odbitkach wydanych drukiem odczytów, w przyczynkach i monografjach, nawet w tłómaczeniach. Celem jego życia było zapoznanie anglo-sasów z dorobkiem i majestatem kultury polskiej, a Polaków, z literaturą angielską, życiem i cywilizacją krajów anglo-saskich. Myślą przewodnią jednak całego jego dorobku literacko-naukowo-propagandowego była literatura polska i historja, a dla Polaków, literatura angielska.

Przyjaźń jego uważałem i zawsze uważać będę jako jedną z największych zaszczytów i nagród jakie mnie w życiu spotkały; zwłaszcza na tym zagonie pracy, który czasami wspólnie oraliśmy i bronowali. Gdy był w Ameryce — szczególnie w New Yorku — bywał często u mnie w domu. Spędziliśmy razem Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Rąbaliśmy razem drzewo na opał w kominku, pijaliśmy herbatę z cytryną całemi litrami jednocześnie prowadząc gawędę na różne tematy (od Anglików przywiózł nałóg picia herbaty o każdej porze dnia i nocy). Gdy wychodziliśmy na spacer, zawsze niósł lub wiózł w wózku jedno z dwojga moich małych dzieci — a następnie bawił się z niemi na podłodze. Widziałem go z bliska i z daleka, w różnych "pozach" — jak go dzieci za uszy ciągnęły i włosy (których już dużo nie miał) mu wydzierały, i przed dużymi audytorjami uniwersyteckimi w Ameryce i w Polsce. Nigdy nie pozował, zawsze był sobą — mądry, dobry, solidny i zawsze znalazł się na wysokości zadania, jak tego okoliczności wymagały. Gdy byłem w Polsce Niepodległej po raz pierwszy w r. 1930, najwięcej czasu — bo łącznie około czterech tygodni — spędziłem w Krakowie. Widywaliśmy się prawie codziennie. Za jego namową popełniłem nawet odczyt na temat uniwersytetów amerykańskich w sali Kopernika w Collegium Novum (główny gmach uniwersytecki). Tej chwili nigdy nie zapomnę — i tego skandalu, jak to Profesor Dyboski, przedstawiając mnie, a następnie ja, po amerykańsku sprowokowaliśmy to poważne audytorjum uniwersyteckie do częstego wybuchu śmiechem: tych kapłanów wiedzy w osobie Jego Magni-

---

*) "Siedem Lat w Rosji i na Syberji".

ficencji Rektora (już ś. p.) Załęskiego, różnych dziekanów, byłych rektorów i prorektorów, różnych profesorów i szczelnie nabitą salę Kopernika szczęśliwą, kochaną studenterją obojga płci. Pamiętam, wstęp był po zł. 1 od osoby, na dochód domu studenckiego. A następnie przyjęcie w Domu Bratniej Pomocy, koncert *ad hoc* tego słynnego wówczas Chóru Akademickiego, przemówienia Profesorów Dyboskiego i Kazimierza Roupperta (obecnie w Palestynie czy Kairze), ś. p. Dziekana Piltza i w. i. Szczęśliwe dni, które się pewnie nigdy nie powtórzą! Może ktoś z czytelników tych słów tam był i jeszcze pamięta.

Ostatni raz widziałem się z Romanem Dyboskim w Zakopanem, w pierwszych dniach sierpnia, 1939 r., w parę tygodni przed wybuchem wojny. Starałem się go dostać jeszcze raz do Ameryki na turę odczytową. Zanosiło się na wojnę, której wynik nie był pewny. Zależało nam bardzo, by mieć tutaj tak znakomitego orędownika sprawy polskiej jak Dyboski. Wahał się ze względu na serce (które mu od dawna spokoju nie dawało i z tej racji przepowiedział, że będzie miał litościwą śmierć). Wahał się jeszcze ze względu na dwie osoby, za które czuł się odpowiedzialny: siostrę i siostrzenicę. "Co one by beze mnie zrobiły, gdybym w Ameryce został wojną odcięty?" — często powtarzał. Przekonałem go wreszcie, że dla dobra sprawy należy zaryzykować: że z Ameryki, w razie potrzeby, może im być więcej pomocny niż na miejscu. Miał przyjechać w październiku. Wojna pokrzyżowała nasze plany. Od tego czasu miałem tylko kilka pocztówek od niego w formie pokwitowania i podziękowania za otrzymane paczki żywnościowe.

Wiem z relacji innych osób, które go widywały w Krakowie, że po wybuchu wojny szedł na piechotę z siostrą i siostrzenicą w stronę Lwowa — aż do 17-go września; od 17-go września przybył z powrotem, na piechotę, do Krakowa; że uniknął masowego aresztu przez Gestapo na uniwersytecie w dniu 6-go listopada, 1939 r. — bo wyjechał w stronę Warszawy by odszukać chorego bratanka; że pozostał w Krakowie do ostatnich dni swego życia, ucząc pokryjomu języka angielskiego i przygotowując do druku kilka książek i kilkanaście artykułów. Ten sam Dybowski, jak zawsze: mądry, dobry, solidny. Były sposoby wydostania go zagranicę: próbowano z Londynu, ja próbowałem przez kontakty włoskie. Odmówił. Nie chciał zostawić na pastwę losu siostry i siostrzenicy; nie chciał się oddalać od murów wszechnicy Jagiellońskiej. I w cieniach tych murów dokończył życia w dniu 1-go czerwca, b. r., na udar serca, "śmiercią litościwą".

Pisząc te słowa, mam przed sobą co dopiero otrzymany list z Krakowa od naszego wspólnego przyjaciela. Przyjaciel ten pisze m in., że w czasie wojny Profesor Dyboski przygotował do druku trzy duże książki, jedną po angielsku i dwie po polsku, oraz kilkanaście artykułów do encyklopedji i czasopism na takie tematy jak: Historja Stanów Zjednoczonych, Historja Anglji, Literatura Angielska, Literatura Amerykańska, Literatura Angielska w Dobie Obecnej i t. d. W ubiegłym roku szkolnym, gdy Uniwersytet Jagielloński został otwarty, Prof. Dyboski rozpoczął wykłady dla rekordowej liczby 180 studentów na kursach anglistyki. Miał również specjalny kurs dokształcający dla nauczycieli języka angielskiego szkół średnich. Miał zorganizować kurs letni dla tychże. Prowadził wykłady popularne na temat literatury angielskiej pod egidą Polskiej YMCA. Wszystko to "śmierć litościwa" przerwała w dniu 1-go czerwca.

Nasz przyjaciel dodaje:

"His life was cut short at the moment, when he could be most useful for the reconstruction of friendly relations between the Anglo-Saxon countries and Poland. He could have done it easily, having so many real friends in England and America. Alas, Poland remains without her best specialist in English and American literature; the oldest Polish University of Cracow remains without its Professor of English — and the other Polish university professors of English are dead; and his sister and niece remain alone."

Opierając się na osobistych, bezpośrednich wrażeniach, pozwolę sobie zwrócić uwagę chociaż na kilka zalet jakie charakteryzowały Romana Dyboskiego:

Przedewszystkiem (mimo słabego serca i do tego skłonności jak się zdaje do astmy), był to człowiek o niespożytej energji i pracowitości. Naprzykład, na okres, sześcio miesięczny przygotowaliśmy dla niego turę odczytową pokrywającą około 25 uniwersytetów i kolegjów amerykańskich, gdzie miał wygłosić około 90 odczytów, na przestrzeni 2500 klm od wschodu na zachód i 1500 klm. od południa na północ. To wypadało mniej więcej jeden odczyt co drugi dzień, często w odległości o kilkadziesiat a nawet parę set klm. Gdy się zapalił do swego "posłannictwa". skończyło się na tem, że w okresie tym wygłosił zgóra 300 odczytów, pogadanek, przemówień na radio, na różnych obchodach okazyjnych i t. d. — czyli prawie po dwa "występy" dziennie przez cały okres sześcio miesięczny. Jeden z Polaków amerykańskich (ś. p. Paweł Kurdziel) powiedział: "tego co Profesor Dyboski zrobił w Ameryce dla sprawy polskiej, toby i za miljon dolarów nie kupił".

Nie tylko anglista ale znakomity lingwista. Mówił biegle pięcioma językami: polskim, angielskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim, i mógł przeskakiwać z jednego na drugi i operować nimi jakby każdy z nich był jego rodzinnym językiem.

Skromność. Gdy mu czasami prawiono komplementy, że jest specjalistą, odpowiadał zarumieniony: "oczywiście będąc w Anglji kilka razy, czegoś się nauczyłem — ale ciągle się jeszcze uczę. Nie uważam się jednak ani za specjalistę ani za głębokiego uczonego. Mamy dużo w Polsce uczonych, którym nie jestem godny bucików zasznurować, a którzy mają pewnie tylko tę słabą stronę, że nie mogą się tak dobrze wysłowić jak ja".

Wymowność, "eloquence". Wśród innych jego licznych zalet, wymowność stanowiła jeden z jego sekretów powodzenia jako orędownika sprawy polskiej w krajach anglosaskich, gdzie znajomość Polski równała się mniej niż zeru — bo była wykoszlawiona i zatruta wrogą propagandą.

Uniwersalność wiedzy. Była to literalnie chodząca encyklopedja. Mógł przemawiać swobodnie i ze znajomością rzeczy na najróżnorodniejsze tematy — literatura, historja, sztuka, stosunki zagraniczne, problemy wewnętrzne i mniejszościowe, pre-historja i t. d., i t. d. Ciekawy przykład: Na jakiemś zebraniu w Montrealu miał wygłosić odczyt na temat z dziedziny historji. Gdy się znalazł na sali i dowiedział się, że to jest jakieś towarzystwo szkockie, zmienił temat odczytu; mówił całą godzinę o Szkotach w Polsce, ku ogromnej radości zebranych. Nawet w rodzinie Marszałka Piłsudskiego odnalazł jakichś Szkotów.

Znajomość psychiki swych audytorjów (szczególnie anglosaskiej) i umiejętność dostosowania się do nich — "adaptability". Zmieniał poziom i koloryt swych wykładów zależnie od stopnia inteligencji słuchaczów — by go wszyscy mogli zrozumieć. To się szczególnie uwydatniało w interpelacjach po odczytach czy pogadankach. Jeżeli w głosie interpelanta zauważył szczerą chęć dostania odpowiedzi w formie informacji, dawał gruntowną odpowiedź o podłożu historycznem. Ale biada temu, kto się odważył postawić drwiące pytanie by skonfudować prelegenta. Dostał zawsze odpowiedź w jednym lub dwóch zdaniach, przyczem cała sala parsknęła śmiechem, a interpelant siadał speszony. Ani on ani nikt inny tego rodzaju pytań później nie stawiał.

"Sense of humor". Polacy na ogół słyną z tego, ze mają zmysł humoru jeżeli są u siebie lub wsród swoich, ale w stosunku do obcych obciążeni są strasznym balastrem — tym, co Amerykanie określają: "they take themselves so darn seriously". Dyboski, ze swą jowjalną naturą, obdarzony był szczodrze zaletą, którą Amerykanie określają jako "sense of humor", a w dodatku, "a saving sense of humor". Jest to zaleta, jaką się nie często spotyka u Polaków. Jest to zdolność wywołania wesołego usposobienia rzekomo kosztem samego siebie i kompletnego rozbrojenia audytorjum. Jest to również subtelna metoda pozbawienia się podejrzewanej pretensjonalności.

Głęboka treść, przystępna forma. Ktoś swego czasu (taki pan, co "myśli kategorjami" ale jakoś nic dotychczas sam nie wymyślił) zwrócił mi "poufnie" uwagę, że Profesor Dyboski w swych pracach wydanych nie wykazuje zbyt głębokich myśli, bo każdy, nawet nieuczony, potrafi go zrozumieć. Moja odpowiedź nie nadaje się do druku w tak poważnem czasopiśmie literackiem jak "Tygodnik Polski". Cywilizacyjna odpowiedź na to jest następująca: gdy w młodych latach Dyboski pisał o Chauserze czy Szekspirze, gdy pisał dla specjalistow i kandydatów na historyków literatury, pisał głęboko uczenie. Ale los przeznaczył mu rolę orędownika spraw i kultury polskiej w krajach anglosaskich, gdzie o sprawach polskich prawie nikt zielonego nie miał pojęcia. Ani Polacy też zbyt nie grzeszyli wielką znajomością tych krajów. Musiał więc nadawać głębokiej treści formy lekkie, przystępne, plastyczne, opisowe, by go każdy, nawet nieuczony, mógł zrozumieć.

"Widział tylko wszystko dobre na świecie." W naszych licznych rozmowach i pogawędkach, nawet w cztery oczy, nigdy nie słyszałem od Dyboskiego jakiegokolwiek negatywnego zdania o kimkolwiek. W trakcie pisania tych słów miałem (zawsze miłego) gościa w osobie Pani Rektorowej Marjanowej Smoluchowskiej. Zapytana, co może powiedzieć o Dyboskim, odpowiedziała: "Znałam go prawie od chwili jego objęcia katedry anglistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Byliśmy zawsze w przyjaźni. Kiedykolwiek miał jakiś odczyt publiczny w Krakowie, uważałam to sobie za obowiązek moralny by na tym odczycie być. Bo Dyboski widział tylko wszystko dobre na świecie. O nikim nigdy nic złego nie mówił. Wychodziłam zawsze z jego odczytu zbudowana na duchu, jak z kazania w kościele".

Zawsze i wszędzie ten sam mądry, dobry, solidny człowiek. Nie jeden Anglik i nie jeden Amerykanin dowiedział się czegoś o Polsce, o Jej dziejach, i o dostojeństwie kultury polskiej — i w stosunku do Polski zajął może trochę życzliwsze stanowisko — dzięki temu, że Dyboski żył. Niech mu ta ziemia polska w cieniach podwawelskiego grodu i Kopca Kościuszki, lekką będzie!

ANIELA MICIŃSKA

SPACERY W COLOMBIER

II.

Żywopłot haftowany kroplami jak szronem
Mgła owinęła siwym i srebrnym welonem.
Żywopłot ten jak księgę otworzoną czytam,
Na hieroglifach cierni nanizane krople
Mówią mi o Twej chwale i mówią roztropniej
Niż wrzawa odpowiedzi i męczarnia pytań
Zmielonych na rozumu zgiełkliwego żarnach
Plewy nie mogącego odróżnić od ziarna.

Tu jest szaro i cicho — nie szeleszczą liście,
Wiatr skrzydłem nie łopoce — jest parno i mgliście
I tylko krzak tarniny, miotający tęczę,
Rzęsistym gradem kropel rozbłyska i dźwięczy.

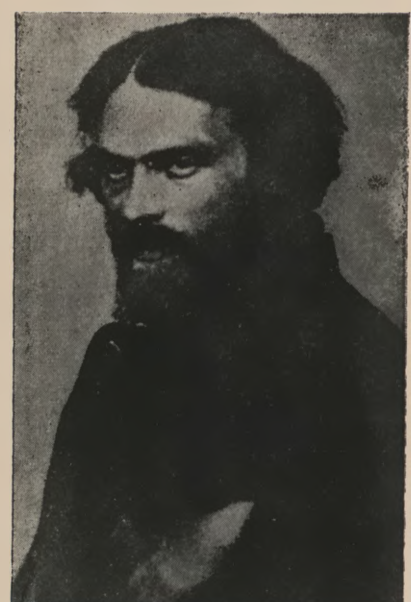
III.

Jedna kropla srebrzystym rozjaśniona blaskiem
Jest źródłem i zwierciadłem bezmiaru Twej łaski, Panie!
Lecz daj mi mowę krzewów i trawy rozumieć,
Niech wiem co mówi drzewo, a co trawa szumi,
Schorzałe bielmo nocy spod martwych wydrzyj powiek
I nie dręcz więzów kratą w których kona człowiek.

Woskiem zalane uszy i oślepłe oczy
Blaskiem Twej łaski otwórz i uzdrów z niemocy.
Na chwilę bodaj jedną — tak krótką jak mgnienie —
Niech świat ten mi nie będzie złudzeniem i cieniem,
I niech zgrabiałe ręce w głodne dłonie chwycą
To, co jest rzeczywiste i jest tajemnicą.

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

Cyprjan Norwid: FORTEPIAN SZOPENA



Cyprjan Norwid

Arcydzieło Norwida "Fortepian Szopena" powstało na wieść o wypadkach w Warszawie, zaszłych jesienią 1863 r. Gnębiony straszliwie przez Moskali kraj powstał. Dokonano zamachu na generał-gubernatora hr. Berga, kiedy wjeżdżał z Nowego Światu w Krakowskie Przedmiecie. Na skutek tego 19 września 1863 splądrowali Moskale i podpalili pałac Andrzeja hr. Zamoyskiego na Krakowskiem Przedmieściu, z którego miały paść strzały. W czasie tego pożaru, wyrzucono na bruk fortepian Szopena, znajdujący sie w pałacu.



Zamach na hr. Berga



Pożar pałacu Zamoyskiego 19 września 1863

(Do Antoniego C..)
La musique est une chose etrange!
Byron.
L'art? C'est l'art — et puis, voila tout.
Beranger.

I.

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie
Niedocieczonego wątku
— Pełne, jak Myth,
Blade, jak świt... —
Gdyś życia koniec szepcze do początku:
"Nie stargam cię ja — nie! — ja uwydatnię!

II.

Byłem u Ciebie, w dni te, przedostatnie,
Gdy podobniałeś — co chwila, co chwila —
Do upuszczonej przez Orfeja liry,
W której się rzutu moc z pieśnią przesila:
I rozmawiają z sobą struny cztery,
Trącając się
Po dwie — po dwie —
I szemrząc z cicha:
"Zaczął-że on
"Uderzać w ton...
"Czy taki Mistrz!... że gra... choć odpycha?"

III.

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!
Którego ręka — dla swojej białości
Alabastrowej, i wzięcia, i szyku,
I chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro —
Miaszała mi się w oczach z klawiaturą
Z słoniowej kości...
I byłeś jako owa postać, którą
Z marmurów łona,
Niźli je kuto,
Odejma dłuto,
Geniuszu — wiecznego Pygmaliona!

IV.

A w tem, co-ś grał — i co zmówił ton, i co powie...
Choć inaczej się echa ustroją,
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką Swoją
Wszelkiemu akordowi —
A w tem, co-ś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej,
Jakby starożytna która cnota ,
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
"Odrodziłam się w niebie;
"I stały mi się arfą wrota,
"Wstęgą ścieżka...
"Hostyę przez blade widzę zboże
"Emanuel już mieszka
"Na Taborze!"

V.

I była w tem Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wzięta tęczą zachwytu —
Polska — Przemienionych Kołodziejów!
Taż sama zgoła
Złotopszczoła..
(Poznałciżebym ją na krańcach bytu...)

VI.

I — oto — pieśń skończyłeś — i już więcej
Nie oglądam Cię — jedno słyszę
Coś... jakby spór dziecięcy...
— A to jeszcze kłócą się klawisze
O niedośpiewaną chęć,
I trącając się z cicha
Po ośm — po pięć —
Szemrzą: "Począłże grać? Czy nas odpycha?..."

VII.

O Ty! co jesteś Miłości profilem
Któremu na imię Dopełnienie;
To — co w sztuce mianują Stylem,
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...
O! Ty — co się w Dziejach zowiesz Erą
Gdzie zaś historji zenit jest,
Zwiesz się razem: Duchem i Literą,
I "Consumatum est..."
O! Ty.. Doskonałe — Wypełnienie,
Jakikolwiek jest Twój i gdzie znak,
Czy w Fidiaszu? Dawidzie? czy w Szopenie?
Czy w Eschylosowej scenie?......
Zawsze — zemści się na tobie: Brak......
— Piętnem globu tego niedostatek:
Dopełnienie.. go, boli......
On rozpoczynać woli
I woli wyrzucać wciąż przed się zadatek!
— Ktoś... gdy dojrzał jak złoty kometa,
Ledwo że go wiew ruszy,
Deszcz pszenicznych żarn pruszy,
Sama go doskonałość rozmieta!

VIII.

Oto — patrz, Fryderyku!... to Warszawa:
Pod rozpłomienioną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa —
Patrz, organy u Fary, patrz! Twoje gniazdo,
Owdzie patrycyalne domy stare
Jak Pospolita Rzecz,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

IX.

Patrz!... z zaułków, w zaułki
Kaukaskie się konie rwą,
Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigają przed pułki
Po sto — po sto —
— Gmach zajął się ogniem, przygasł znów,
Zapłonął znów — i oto pod ścianą
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane —
I znów widzę acz dymem oślepian,
Jak przez ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął... Twój fortepian.

X.

Ten!... co Polskę głosił, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wziętą, hymnem Zachwytu —
Polskę, przemienionych kołodziejów,
Ten sam — runął na bruki z granitu!
— I oto, jak zacna myśl człowieka,
Poterany jest gniewami ludzi,
Lub jak — od wieka
Wieków — wszystko, co zbudzi!
I oto, jak ciało Orfeja,
Tysiąc pasyj rozdziera go w części;
A każda wyje: "nie ja!..."
"Nie ja!" — zębami chrzęści —

Lecz Ty! lecz ja? — uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: "Ciesz się, późny wnuku!
"Jękły głuche kamienie:
"Ideał siągnął bruku" —

....Rosyanie zawdzięczają swój tak zwany instynkt państwowy nie rasie słowiańskiej, nie domieszce krwi obcej, fińskiej (Finom wszelki "instynkt państwowy" absolutnie obcy!"), lecz wyłącznie nahajom tatarskim, cezaro-papizmowi bizantyńskiemu i pedantyzmowi niemieckiemu, który zawsze jeszcze z różnych prawitielstw. wiedomstw, pałat, nie wywietrzoł, chociaż Munichów i Ostermanów dawno już niema.

("O najważniejszych postulatach historyi literatury polskiej", — Lwów 1900; str. 12)
ALEKSANDER BRUCKNER

ROSE BAILLY

Polskie kapliczki na drogach Francji

(Dla "Tygodnika Polskiego" z Paryża)

Zrodziła się we mnie myśl, żeby wznieść na francuskiej ziemi pomnik, któryby upamiętnił tutaj tę nową, tak pełną chwały a tak tragiczną emigrację polską, i który zarazem służyłby idei zbliżenia polsko-francuskiego. Chodziło o pomnik na miarę naszej epoki: wielki a prosty.

Zwróciłam się więc do naszych biednych żołnierzy oraz do uchodźców ze schronisk, aby zajęli się budową kapliczek przydrożnych takich jakie widuje się wszędzie w Polsce. Są tam one przeważnie bardzo skromne, ale ilość ich jest imponująca. W wyobraźni mojej widziałam je już we Francji, na skrzyżowaniach dróg, trwały ślad postoju Polaków w pośród nas, a zarazem wyraz ich niezłomnej wiary w Boga i ojczyznę. Widziałam przechodniów zatrzymujących się, dumających chwilkę, i ruszających w dalszą drogę z uczuciem wdzięczności i przyjaźni.

Myśl moja przyjęto z entuzjazmem. Pierwszą kapliczkę zbudowali moi chrześniacy obok farmy "Lwów" nieopodal obozu Espagots. "Lalka" był architektem, rzeźbiarzem i malarzem jednocześnie. Przysłał mi szkic z następującym opisem: "Tak wygląda kopliczka zbudowana wyłącznie przez tych, co pracowali na farmie. Jest tam wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej i polski orzeł i godło miasta Lwów z dewizą "semper fidelis", powtórzona po francusku. Jest też tablica z datą i nazwiskami tych, którzy ją wznieśli. Styl "żaden". Trochę polski, a trochę miejscowy z Causse. Wznosi się ona w cieniu starego kasztana, którego listowie będzie jej latem opowiadało odwieczne francuskie baśnie, jesienią złotem ją przyozdobi, w ziemi zaś kapliczka, kapturem śniegowym nakryta, ogołoconemu z liści drzewu prawić bedzie o dalekim północnym kraju, Polsce, gdzie w miesiacu lutym Matka Boska ze świeca po polach chodzi i zgłodniałe wilki od chat chłopskich odgania. — I może zdarzy się, że ktoś świecę zapali przed bladem obliczem tej Madonny z Polski dalekiej, i pomyśli o wędrowcach, co po szerokim świecie błądzili bez rodziny i dachu, bijąc się "za waszą i nasza wolność".

"Lalka" doskonale zrozumiał mój projekt. Kapliczka została uroczyście poświecona, byłam jednak wówczas zbyt chora, żeby przybyć na inaugurację. Poświęcenia dokonał polski ksiądz przy asyście tłumu żołnierzy, oficerów polskich i francuskich. Niesłychanie z siebie zadowolony, "Lalka" pozbył się na jakiś czas nurtującego go pesymizmu i zaczął snuć patrjotyczne marzenia o przyszłości.

Druga kapliczka wzniesiona została w obozie Seffonds przez t. zw. "Boulinard'ów" czyli oficerów polskich, którzy próbowali byli — bez powodzenia — dostać się do Anglji na yachcie "La Bouline". Ci znakomici oficerowie zapalili się bardzo do mojej idei. Kształt kapliczki, materjał budowlany, wybór miejsca, stały się przedmiotem długich i częstych rozmów, dzięki czemu nie było czasu na nudy. W dziele temześrodkowała się cała wiedza techniczna i dobry gust tych panów. Rezultatem było prawdziwe cudo: na cokole ze starego kamienia, znalezionego w okolicy, powstało miniaturowe sanktuarjum z gontów świerkowych tak znakomicie spajanych, że zawodowy rzemieślnik by się tej pracy nie powstydził. Przeważał styl zakopiański: girlandy z kwiatów i serc zdobiły fasadę, półkolisty otwór — na wzór drzwi góralskich obramowany był w desenie nabijanemi gwoździami. Dokoła wyrzeźbionej i pomalowanej Madonny widniał wzruszający napis: "Matko Boska Częstochowska módl się za Polskę i za Francję". Zdaleka, na tym cokole z kamienia, kapliczka wyglądała jak złoty ul. Położona była rzeczywiście prześlicznie: w pewnej odległości obozu, na zakręcie drogi, niedaleko strumyka który płynął między dwoma rzędami drzew. Sylweta jej rysowała się na tle ciągnącej się hen daleko równiny, pól i lasów, gdzieniegdzie znaczonych czerwonym akcentem dachówek.

Na inaugurację stawił się cały obóz, oficerowie francuscy i mieszkańcy Sepffonds. Ja przyszłam dopiero nazajutrz gdy girlandy z kwiatów już zwiędły. Mówiono mi, że w czasie ceremonji francuscy "gardes-mobiles" płakali. — Przewidując swój rychły odjazd, polscy oficerowie powierzyli opiekę nad pomnikiem dzieciom ze szkół.

Trzecia kapliczka powstała w obozie Ivron, niedaleko Pau. Było tam około siedmiuset Polaków, wśród nich wielu doskonałych artystów. Poeta-rzeźbiarz-malarz Leskiewicz skomponował projekt ambitny, skomplikowany, którego wykonanie pociągnęłoby za sobą wiele tysięcy franków. A przecież główną cechę tych pomników miała być prostota.

Kapliczka wzniesiona została na rozstajnych drogach: w miejscu gdzie z szosy państwowej odchodziła droga do obozu. Wymarzone miejsce: setki tysięcy ludzi rok rocznie będą ją tam oglądały. Na czworokątnej podstawie cztery kolumienki dźwigały daszek, osłaniający wizerunek z mozajki. Wykonana według planów znakomitego artysty, jakaż była ona jasna, jaka wesoła! — Dokoła tej małej konstrukcji na ziemi, z kolorowych kamyków ułożyli ludzie godła różnych miast Polski. — Wszystko byłoby doskonałe, gdyby nie użyto betonu na cokoły tych kolumienek. O mało się nie rozpłakałam! Przecież żaden inny materjał nie niszczeje tak szybko i nie wygląda potem tak paskudnie! Napis był wymowny: "Na pamiątkę polskiego wojska" . . .

Inauguracja miał miejsce 15-go sierpnia. Chłopi okoliczni ustawili się po obu stronach drogi, pełni skupienia, ściskając w ręku berety. Na twarzach ich malowało się głębokie wzruszenie.

Generał Kleberg, któremu nic o tem nie mówiono, sam odkrył kiedyś kapliczkę i nie miał dość słów uznania dla budowniczych i dla mnie. Zacfiarował się zapłacić cały materjał na dalsze: chciał, żeby każdy obóz miał swoją kapliczkę.

W POPRZEDNIM 41 (146) NUMERZE "TLGODNIKA POLSKIEGO"

ANONIMOWY AUTOR Z POLSKI

A P E L

(Ciąg dalszy)

Trojanowski stał ciągle z ciężko opuszczonemi powiekami. Lecz i tym ułamkiem spojrzenia ogarniał nieżyjącego. Z warg rozciętych pejczem młodego Dietricha ściekała mu krew na brodę i dalej na drelich. Nie zwracał na to uwagi. Natarczywie i jak gdyby w zwolnionym rytmie plątały mu się po głowie jego własne słowa, gdy na parę miesięcy przed uwięzieniem dowodził kilku przyjaciołom, że nawet wśród największych cierpień i poniżeń człowiek może uratować swoją godność. Mówił wówczas: wierzę, moi drodzy, że nic nie może zabić w człowieku jego wolności, trzeba tylko chcieć jej bronić, ale bronić przed samym sobą, przed naszą słabością, przed naszym lękiem, przed brakiem nadziei. Niema na ziemi siły, któraby mogła zniszczyć naszą wolność, jeśli ją chcemy ocalić. Wobec kogo, spytacie. Wobec siebie samego, wobec Boga, jeśli chcecie... Teraz wiedział, że samemu można znieść poniżenie i można z dumą i z pokorą przyjąć najokrutniejszy koniec, lecz poniżenie, które drugiego człowieka, bezbronnego i samotnego wydaje śmierci, jest ciężarem ponad siły ludzkich ramion. Czuł, jak kruszy się w nim i łamie ta wolność wewnętrzna, której uporczywie i w skupieniu bronił od pierwszego dnia uwięzienia, wolność nie służąca niczemu, prócz ratowania własnej godności. Oswoił się już z cierpieniem i poniżeniem. Widział je codzień. Także śmierć. Lecz ze złem, z nieludzką pogardą i z okrucieństwem, które dokoła szalały, oswoić się nie mógł i nie umiał. Nieraz aż oskarżał samego siebie o oschłość, bo oprawcy poruszali nim głębiej, niż widok ich ofiar. Zło, do którego człowiek jest zdolny, ta otchłań, którą trzeba z bliska ujrzeć własnemi oczami, aby w nią uwierzyć, te bezmiary potworności, drzemiące w ludzkich istnieniach i bez wstydu, wśród zwycięskiego tryumfu wydobywające się na światło dzienne, to była groza, przewyższająca wszystko, co człowiek jest w stanie przecierpieć.

Patrzył na twarz zmarłego doktora i po przez znużenie, które go coraz bardziej obezwładniało, broniąc się przed wewnętrznem odrętwieniem, usiłował uporządkować jakoś te strzępki odczuwań. Myślał z wysiłkiem, jak gdyby przedzierając się przez ciężki opar: cierpienie mieści się w porządku świata. Mogę być sobą cierpiąc. Mogę być sobą umierając. To coś znaczy, to jest nadzieja. To może być zwycięstwem. Lecz zło? Nie znajdował w sobie odpowiedzi. Pytanie, jak kamień, spadało w przepaść i z głębi żaden głos nie odzywał się echem. Czuł tylko bardzo mgliście i jak gdyby myślał nie sobą, lecz kimś o wiele przerastającym jego samego, że chociaż nienawidzi tych ludzi, opętanych złem, jest w istocie bardziej z nimi związany, niż z cierpiącymi współtowarzyszami niedoli. Nie była to solidarność. Wszystko w nim buntowało się przeciwko niej. Nie była to również litość dla zbrodniarzy, gorzkie braterstwo, które karze dzielić z winnymi ciężar wspólnego zła na ziemi. Nie czuł tej litości. Więc cóż mnie z nimi łączy? — myślał. — Jakże mogę dzielić odpowiedzialność z tymi, którzy mnie biją i poniżają i z których ręki mogę w każdej chwili zginąć? Potępiam ich... I po chwili: może za tę cenę wolno potępieć?...

Przy końcu bloku, gdzieś z tyłu, słychać było Schredera. Uderzył kogoś. Potem przebiegł szybko wzdłuż szeregów, z mocno zaciśniętemi szczękami, z pejczem w ręku. W poprzek twarzy miał siną pręgę od uderzenia Hansa Kreutzmanna. Wyminął zwłoki doktora i na nikogo nie patrząc zatrzymał się aż na przeciwnym końcu bloku.

Od strony placu nadchodził właśnie Kreutzmann. Szedł lekko stawiając stopy, jak gdyby miał pod sobą nagrzane morskie wybrzeże. Schreder natychmiast zawrócił. Nagle przystanął przy Wachowiaku i spytał go o coś po niemiecku. Tamten nie rozumiejąc, milczał. Wtedy Schreder, nie patrząc na niego, uderzył go w twarz. Wachowiak nie drgnął nawet. Twarz spochmurniała mu jeszcze bardziej, a oczy utkwione w capa stwardniały. Schreder nie zdążył odejść, gdy podszedł Kreutzmann.

— Co on zrobił? — spytał, wskazując pejczem na Wachowiaka.

Przez moment Schreder zawahał się Stał na skraju wydłużonych cieni topoli i nieruchomością swojej postaci podkreślał jeszcze złudzenie, że ziemia porusza mu się pod stopami.

Staś Karbowski z niezmiennym uporem śledził ruch tych cieni Nagle usłyszał głos Schredera. Capo wyjaśnił, że uderzył Wachowiaka za buntownicze spojrzenie.

Zaległa cisza. Teraz, gdy zabrakło doktora, zastępował go sędzia Makowski, swoim ciężkim, urywanym oddechem człowieka, który z trudem chwyta powietrze. Staś znowu czuł ten oddech prawie na plecach. Ale śmierć straciła dla niego nagle grozę. Nie obejmował jej Była już, jakby poza wszystkiem, spokojem i niewiedzą. Umieranie — to było straszne. I poraz niewiadomo który, jak cień, przesunął się mu przed oczyma Wacek Zawadzki, wybijający okrwawioną ręką takt na bębenku.

Wtem rozległ się głos Kreutzmanna.

— Spytaj go, czy jest zadowolony, że został ukarany?

Capo obróciwszy się ku Wachowiakowi powtórzył pytanie po polsku ostro i rozkazująco, jednocześnie jego oczy, niebieskie i śmiałe oczy północnego Niemca, błagalnie zdawały się chłopcu wskazywać odpowiedź. Tamten chwilę namyślał się. Wreszcie podniósł na Schredera chmurne, twarde spojrzenie i powiedział:

— Nie.

Kreutzmann przysunął się bliżej.

— Nein?

I ogarnął Wachowiaka swojemi pięknemi oczami, które naraz stały się czujne i przenikliwe.

— Nein? — powtórzył.

— Nie — odpowiedział Wachowiak.

Kreutzmann nie wyglądał na zdziwionego, ani zagniewanego. Uśmiechnął się. Wzrok jego ześlizgnął się z Wachowiaka i z pewnem roztargnieniem począł przesuwać się po stojących w szeregach. Na chwilę wszyscy zapomnieli o zmęczeniu, o swoich bólach, o przenikliwem zimnie. Stali odrętwieni, jak gdyby zahypnotyzowani, nie śmiejąc oddychać. Wzrok młodego block-fuehrera długo i powoli błądził od twarzy do twarzy i przez moment każdy z więźniów był pewien, że na nim zatrzyma się to spojrzenie, kryjące niewiadomy rozkaz. Wysoko w ciemnościach huczał wiatr. Mroźna mgła siekła twarze. Wreszcie spojrzenie Kreutzmanna oparło się na Karbowskim. Koniec — pomyślał Staś. I uczuł że odruchowo poczyna się trząść od wewnątrz. Zacisnął zęby. Gdy Kreutzmann skinął na niego, wystąpił posłusznie z szeregu.

— Bliżej — powiedział spokojnie SS.

Staś znalazł się tuż przy Kreutzmannie. Ten skinął z kolei na Wachowiaka. Potem, gdy obu więźniów miał przed sobą, zwrócił się do Schredera.

— Powiedz temu — wskazał na Wachowiaka — że jeżeli nie lubi być bity, to pewnie woli bić. Niech więc bije tego drugiego.

Schreder powtórzył. Był blady, lecz spokojny. Wachowiak usłyszawszy rozkaz, którego się nie spodziewał, drgnął. Spojrzenie jego chmurnych, posępnych oczu zamąciło sie naraz. Milczał. *(Ciąg dalszy nastąpi)*

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Międzynarodowe położenie polityczne, skomplikowane przez rozbicie londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Piątki, gmatwa się z dnia na dzień, coraz bardziej. Przewidywania, że Rosja Sowiecka pocznie teraz, w tempie przyspieszonem, stwarzać fakty dokonane, w celu wzmocnienia swych pozycji politycznych i strategicznych w Europie i w Azji, okazują się trafnemi.

Przedewszystkiem, rząd moskiewski, pomimo wyraźnego oporu anglosaskiego, wymusił na marjonetkowym rządzie węgierskim zgodę na zawarcie układu gospodarczego węgiersko-sowieckiego, oddającego Sowietom faktyczną kontrolę i możliwości pełnego eksploatowania produkcji Węgier przez Rosję. Pozatem, w celu wzmocnienia wpływów komunistycznych, główndowodzący armją sowiecką na Węgrzech Woroszyłow zmusił zwycięską, w wyborach komunalnych budapeszteńskich, antykomunistyczną portję drobnych rolników do wejścia w skład wyborczego bloku, zapewniającego komunistom i komunizującym węgierskim grupom sukcesy w zbliżających się wyborach parlamentarnych. Rząd sowiecki nie zawahał się użyć jawnego nacisku militarnego, aby zapewnić sobie dalsze rządy prosowieckie na Węgrzech, zagrożone przez budapeszteńskie zwycięstwo partji antykomunistycznej.

W sąsiedniej Austrji, której rząd Rennera, wysunięty staraniami sowieckiemi, został, pod presją sowiecką, uznany obecnie przez mocarstwa tworzące Wielką Piątkę — było to również jedno z ustępstw, poczynionych w Londynie przez Byrnesa i Bevina, aby zachęcić Mołotowa do pójścia na kompromis w sprawach, które skromnie nazwano w komunikatach i oświadczeniach oficjalnych anglo-saskich "kwestjami procedury" — w Austrji otóż rząd moskiewski, bez uprzedniego poinformowania wiedeńskiej międzyaljanckiej komisji kontrolnej, pośpieszył z dyplomatycznem uznaniem rządu Rennera, wbrew wyraźnym zastrzeżeniom, zawartym w międzyaljanckim akcie, uznającym dzisiejszy rząd austjacki.

Na Bałkanach, po za drobnemi posunięciami w Rumunji i Bułgarji, mającemi imitować demokratyczny charakter tamtejszych pro-sowieckich rządów kukiełkowych, Związek Sowiecki począł obecnie czynić znamienne posunięcia militarne. Wiadomości o szeroko zakrojonych manewrach wojsk sowieckich w Bułgarji południowej na pograniczu tureckiem, a także zmasowanie znacznych sił czołgowych, pod pozorem właśnie takich manewrów, wreszcie doniesienia o przerzuceniu nowych sił sowieckich z Rumunji do Bułgarji południowej, wskazują, że Rosja Sowiecka przygotowuje się do wywarcia nacisku na Turcję, dążąc do rozstrzygnięcia kwestji cieśnin dardanelskich według swojej myśli, nie oglądając się na stanowisko Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych.

Ze Związek Sowiecki dąży do dalszego zamącenia wód politycznych na Dalekim Wschodzie, że spodziewa się korzyści dla siebie z powiększania gmatwaniny, wywoływanej przez ruchy nacjonalistyczne w Indo-Chinach, na wyspach Indonezji i w Indjach Wschodnich, dowodzą wyraźnie wystąpienia moskiewskiego organu zakonspirowanego Kominternu "Wojna i Raboczyj Kłas"; w ostatnim numerze tego dwutygodnika zamieszczone zostały ostre ataki na azjatycką politykę Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji. Sowiecka Rosja, dom niewoli narodów sowieckich, występuje w charakterze obrońcy narodów, rzekomo ciemiężonych przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanję. Charakterystycznym jest bowiem atak sowieckiego organu Kominternu na Stany Zjednoczone, jako gwałciciela narodu filipińskiego.

Mszczą się wszędzie skutki błędnej polityki amerykańskiej i brytyjskiej, mszczą się skutki polityki obietnic i przyrzeczeń, dawanych na wszystkie strony. Ogłoszenie listu zmarłego prez. Roosevelta do arabskiego króla Ibn Sauda w sprawie palestyńskiej, jest dokumentem oświetlającym jak najlepiej metody rooseveltowskie. Dla Polski metody te, ich szkodliwość, były widoczne i były rozumiane już oddawna od czasu Teheranu. Teraz poznają je tak bardzo oddani Rooseveltowi stronnicy — sjoniści najróżniejszych zabarwień.

Wybory parlamentarne francuskie choć dały komunistom największą ilość mandatów, przez to że przyniosły również zwycięstwo konstytucyjno prawnym koncepcjom de Gaulle'a nie mogą być uznane za polityczny tryumf komunistyczny.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

UCHWAŁY POLSKO-AMERYKAŃSKIEJ RADY PRACY W DETROIT

W czasie zjazdu Rady Naczelnej Kongresu Polonji w Detroit odbył się jednocześnie zjazd przedstawicieli robotników polskiego pochodzenia w Stanach Zjednoczonych reprezentujący 90 procent robotników zrzeszonych w Polsko-Amerykańskiej Radzie Pracy.

Powzięto uchwły w sprawie polskiej i w sprawie zabezpieczenia wolności w Ameryce w tym samym co uchwały Kongresu duchu.

Rezolucję w imieniu robotników polskiego pochodzenia podpisali za Komisję Spraw Robotniczych:

Jan Trzaska, Antoni Wojsowski, Jan Kudelok, Walenty Szpunar, Stanisław Iwanicki, za związek Socjalistów Polskich; J. Kuc, za Polsko-Amerykańską Federację Pracy; Franciszek Ostrowski, Józef D. Włodarczyk, za Polski Uniwersytet Ludowy: Jan Regcy, za Oddział Spójnia Związku Socjalistów Polskich: Jan Konarski.

SPROWADZANIE POLSKICH ŻOŁNIERZY DO AMERYKI

Na przyjęciu Komitetu Parady Pułaskiego w hotelu Biltmore, przewodniczący komisji imigracyjnej Izby Niższej Kongresu, kongresman Samuel Dickstein oświadczył, że Polonja Amerykańska może przyczynić się do uratowania żołnierza polskiego, który bohatersko walczył za sprawę demokracji świataa.

"Do komisji imigracyjnej mówił kongresman Dicksein, wniesione zostały ostatnio 4 wnioski, domagające się zamknięcia imigracji do Stanów Zjednoczonych na przeciąg dziesięciu lat. Odmówiwszy na razie przesłuchów w sprawie tych wniosków, zwróciłem się do Izby Posłów, która mocą uchwały Nr. 52 upoważniła mnie do przedłożenia Izbie wniosku czy kwota imigracyjna ma być utrzymana.

Ze swej strony przedłożę Izbie wniosek utrzymania obecnych kwot imigracyjnych, powiększenia kwoty z mniejszych krajów europejskich i zmniejszenia kwoty dla Niemców.

Poza tym do komisji wniesiony został wniosek kongresmanki Clare Booth Luce w sprawie dodatkowej kwoty dla żołnierzy Armji Polskiej na obczyźnie. Losy tego wniosku w znacznej mierze zależą od Polonji amerykańskiej, która powinna zwró-

cić się do komisji imigrrcyjnej z rzeczowo opracowanym memorjałem w tej sprawie. Osobiście całem sercem jestem za uchwaleniem dodatkowej kwoty dla żołnierzy polskich."

WYDZIAŁ STANOWY KONGRESU POLONJI PRZECIW UDEKOROWANIU ŻYMIERSKIEGO

Zarząd Wydziału Stanowego Kongresu Polonji Amerykańskiej na południową część stanu New York wystosował w dn. 16 bm. do generała Dwight P. Eisenhowera depeszę następującej treści:

"One million Amcricans of Polish birth or descent in N. Y. State are deepy shocked by yesterday's N. Y. Times report of the decoration with the Lcgion of Merit of the Polish quisiing Marshall Rola Żymierski for what the N. Y. Times called "his leadership of Polish underground resistance forces". Rola Żymierski had no connection whatever with tho Polish Underground, except to imprison and persecute many underground leadcrs during the last few months as am officil of the puppet Warsw regime. Prior to his betrayal of their Russian conqueror his earlier of their Russian conqueror his earlier career included a conviction for bribery for which he was stripped of officer's rank in the Polish Army and servcd 5 years in prison. To decorate this man is an insult to all holders of the Legion of Merit who have been granted that decoration deservedly. The Polish Undcrground, if it could be heard, would surely refuse to be besmirched with the name of Rola Żymierski. If you wish to decorate those whe really led the Polish Undergrounl Resistance Forces — we suggest the name of Gcneral Bor Komorowski who led the heroic revolt of Warsaw against the Nazis despite Russian sabotage or the name of Gencral Okulicki now spending his remaining years in a Russian jail. If you must decorate Rola Żymierski for reasons of expediency at least do not distort the facts of history and dishonor the Polish Underground by linking his name with theirs."

For the Downstate N. Y.
Division of Polish
American Congress
Francis J. Wazeter, President.

POLONJA CHCE ZEBRAĆ $350,000 NA RUCHOME SZPITALE

Ze względu na tragiczną sytuację zdrowotną w Polsce organizacje wchodzące w skład Zjednoczonego Polskiego Komitetu Ratunkowego chcą przeprowadzić zbiórkę na szpitale dla ludności w Polsce w postaci ruchomych jednostek, szpitalnych ze szczególnem uwzględnieniem ludności wiejskiej.

Czas kampanji okreslono na 6 tygodni. Rozpocznie się ona dnia 11 listopada i trwać będzie do 31 grudnia bieżącego roku.

POLAK "BIAŁY KRÓL" WYSPY KARAIBSKIEJ

9-go października pochowano na cmentarzu dla wybitnie zasłużonych w Arlington, Va., zwłoki Polaka, Faustyna Wirkusa, obywatela Stanów Zjednoczonych, marynarza, autora i . . . "białego króla" ciemno-skórych mieszkańców wyspy La Gonawa, należącej do republiki Haiti. "Nowy Swiat" pisze o nim:

Losy zaiste przedziwne zapędziły z Ameryki Polaka, Faustyna Wirkusa na wyspę La Gonawa. Syn górnika z Pennsylvanji, urodzony w Pittston, Pa., mając 17 lat uciekł w r. 1914-tym z domu rodzicielskiego i wstąpił do marynarki Stanów Zjednoczonych. W roku 1920 stacjonowany chwilowo na wyspie Haiti, wziął małą łódeczkę i popłynął do wyspy La Gonava, trzydzieści mil odległej od Port-au-Prince. stolicy Haiti.

W r. 1925-ym komenda marynarki zamianowała sierżanta Wirkusa administratorem dystryktu w La Gonava. Tam spotkał on po raz drugi tajemniczą kobietę. i ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział się, że ona jest królową i władczynią wyspy La Gonava.

Krótko po zainstalowaniu się Wirkusa na wyspie, Królowa poleciła go ukoronować jako króla Faustyna II. Tubylcy przyjęli go całem sercem i z pełnem zaufaniem. Rozpoczęły się nowe rządy i nowe czasy na niewielkiej wyspie Morza Karaibskiego. Wirkus był pierwszym białym człowiekiem, który wziął udział w narodowo-religijnych uroczystościach ciemnoskórnych mieszkańców. Podczas swoich rządów, Wirkus kilkakrotnie wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych i stąd przywoził swojemu ludowi buty, ubrania, stroje dla kobiet i różne sprzęty, nieznane dotychczas na wyspie. Był doktorem i sędzią, administratorem i nauczycielem. Po raz pierwszy w historji wyspy nakazał płacić opuszczonym żonom alimenty. Godził powaśnione rodziny zyskując tem coraz wiekszy szacunek. Jednym z dowodów miłości mieszkańców było to, że w pierwszym roku swoich "rządów" zdołał zebrać $10.000 podatków, gdy rzad republiki Haiti zebrał zaledwie $2.000 w dwudziestu latach.

Niestety, jak wszedzie na świecie, zazdrość skróciła dobre i sprawiedliwe rządy "króla" Wirkusa. Sława "Króla La Gonawy" rosła wszędzie, mieszkańcy go ubóstwiali. Ukazała się książka Williama Seabroocka p.t. "White Magic", która była wprost rozchwytywana. Obudziło to niepokój sąsiadów, którzy zażądali odwołania sierżanta Wirkusa "Białego Króla". Popularność jego stawała się widocznie niebezpieczna dla sąsiednych "władców". Stara zasada "sam nie zrobisz, drugiemu nie daj" zwyciężyła.

W r. 1931 odwołano Wirkusa, który powrócił chory i zniechęcony dc Stanów Zjednoczonych. Napisał potem książkę pt. "The White King of La Gonava" przy pomocy Taney Dudley, żony Bide Dudley'a. Zamieszkawszy później w Brooklynie, wstąpił na ochotnika jeszcze raz do marynarki w r. 1939 i pełnił funkcje sierżanta rekrutacyjnego.

Zmarł po dłuższej chorobie w szpitalu marynarki w Brooklynie. Uznano jednak po śmierci jego wielkie zasługi cywilizacyjne, położone na dalekich wyspach oceanu. Uznanie to wyrażono mu pochowaniem zwłok "Białego Króla" na cmentarzu dla zasłużonych w Arlington.

CZAS
ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ

"OBRONA CZĘSTOCHOWY"

14 października wystawiona została w Chicago w Civic Opera, znana sztuka historyczna "Obrona Częstochowy" Elizy Bośniackiej która dziś właśnie ma dla nas tyle akcentów aktualności i tak bardzo dziś właśnie jest wzruszająca.

Sztuka została przerobiona na rodzaj misterjum narodowego i zagrana z największym przepychem dekoracyjnym i piękną ilustracją muzyczną przez zespół polskiego teatru objazdowego, na którego czele stoją pp. Władysław Cherominski i Janusz Stryjewski. Reżyserował sztukę znany aktor warszawski Jan Bonecki, Lucjan Krzemiński grał księdza Kordeckiego,, Kazimierz Majewski miecznika Zamoyskiego, Władysław Krassowski o. Bonifacego, Ela Dziewońska — miecznikową Zamoyską, a Halina Majewska Annę. Prasa pisze o tem przedstawieniu jako o wielkim sukcesie artystycznym, który był przyjęty z entuzjazmem. Sztuka objedzie całe Stany Zjednoczone i grana będzie w New Yorku.

ŚLUB

Młody zdolny aktor polsko-amerykański Jan Witanowski, który grał w "Dziadach" w New Yorku z zespołem Polskiego Teatru Artystów i w tej same trupie w Chicago rolę młodego Siekierki w "Spadkobiercy" poślubił w tych dniach pannę Wandę Markowską.

OPINJE I ZDARZENIA

ŻENUJĄCY GOŚĆ

Wincenty Rzymowski, który został w swoim czasie usunięty z Polskiej Akademji Literatury za "oderżnięcie" całych stronic z książki Bertranda Russell'a, obecnie "minister spraw zagranicznych" tak zwanego "rządu warszawskiego" będącego agenturą sowiecką i mającego za zadanie zniszczyć niepodległość Polski, odciąć naród polski od świata i zniesławić go — przybył do Waszyngtonu, aby podpisać "imieniem Polski" pakt w San Francisco.

Uznawszy wbrew prawu międzynarodowemu, wbrew sprawiedliwości, przeciw woli wszystkich Polaków ów nieprawdopodobny "rząd" — Waszyngton i Londyn znoszą teraz bardzo przykre konsekwencje nawiązania tych stosunków i brną w rzeczy niesłychane z punktu widzenia już nietylko polityki ale zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

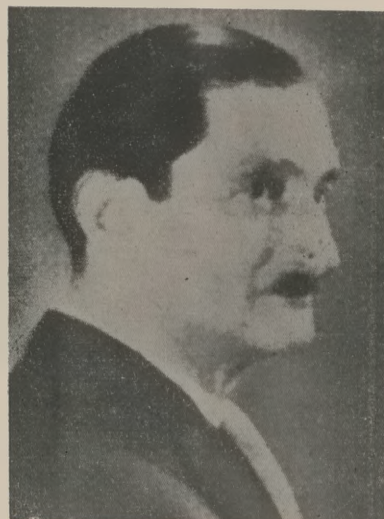
Wysokie odznaczenie wojenne amerykańskie, zawieszone przez gen. Eisenhowera na piersi Żymierskiego, który był osądzony i więziony za sprawę kryminalną oto jeden z tych niebywałych wniosków, jakie wyciągnięto z uznania agentów sowieckich za rząd legalny.

Drugą "przyjemność" jaką musiał znieść Waszyngton na skutek swej polskiej polityki to przyjęcie Rzymowskiego, który po wyrzuceniu z Akademji znikł z Warszawy, z którym wszyscy jego znajomi oczywiście zerwali wszelkie stosunki i żadne pismo, nawet zwykłe brukowce nie chciało go drukować.

I z tym to człowiekiem pan Byrnes musiał zjeść śniadanie i dla takiego to "ministra" uzurpującego sobe prawo przedstawiania bohaterskiej Polski poszli do gmachu Ambasady Polskiej sekretarz handlu Wallace, lord Halifax (mamy nadzieję, że nie rozmawiali o Bertrandzie Russell'u) i ambasador Bonnet. W Warszawie mówiono w takich wypadkach "winszuję, ale nie zazdroszczę."

Na szczęście owe niesławne konsekwencje Jałty i Poczdamu prowadząc do coraz bardziej żenujących sytuacji, budzą też w Ameryce sprzeciw coraz bardziej zdecydowany i niedaleka już jest, wierzymy, chwila kiedy zarówno Londyn jak i Washington wyproszą sobie stanowczo takie jak Rzymowskiego wizyty. Albowiem wspomniani przez nas dygnitarze, którym "nic nie szkodziło" witać się z p. Rzymowskim byli jak to się mówi "znakomitymi wyjątkami". Większość zaproszonych przez "charge d'affaires" pana Osubki, wymówiła się podobno albo grzecznie, albo nawet bardzo stanowczo od podejrzanego honoru tego spotkania, uważając , że salony gdzie przebywa pan Rzymowski przestają być tem samem "salonami".

ZMARŁY W POLSCE



BRUNO WINAWER
doskonały komedjopisarz i popularyzator nauki.

TUWIM U RZYMOWSKIEGO

Na przyjęciu, które "Ambasada" Osubki wydała dla Wincentego Rzymowskiego nie było nikogo ważnego z Polonji, nikogo z Polaków, których nazwiskami możnaby się pochwalić. Mówi się natomiast że na przyjęciu w Konsulacie w New Yorku był Juljan Tuwim, co ma jakby oznaczać, że pan Rzymowski jest "all right" skoro rozmawiają z nim autentyczni polscy pisarze.

Otóż tutaj trzeba wreszcie postawić jasno i wyraźnie sprawę, którą ze względów na sytuację literacką Tuwima długo wszyscy staraliśmy się przemilczać. Tuwim — swoją działalnością polityczną nie liczącą się ani z uczuciami i myślami, ani nawet z bezmiernemi cierpieniami Polski odciął się raz nazawsze od narodu. Można było mieć nadzieję, że skoro tak propaguje raj Osubki, i jakoby wierzy w szczęście pod Sowietami, uczyni to przynajmniej, że gdy stanie się to możliwe, czemprędzej tam pojedzie, aby dzielić los tych, których namawiał na to szczęście. Nie przestalibyśmy go wtedy uważać za ciężkiego szkodnika sprawy polskiej, za politycznego szaleńca, ale przyznalibyśmy przynajmniej, że to szaleństwo jest wynikiem głębokiego przekonania i że Tuwim gotów jest coś dla swoich przekonań poświęcić. Ale Tuwim siedzi w New Yorku i na Zjazd Pisarzy w Polsce nie pojechał, wymówiwszy się "trudnościami transportowemi". Siedzi syty, bezpieczny ma dach nad głową, może pisać co chce i jak chce, gdy w owym raju jakoby utęsknionym przez niego, pisarze polscy muszą milczeć lub kłamać, aby uratować swe życie, nie mają co do ust włożyć i czem się przyodziać. I wreszcie, on poeta pierwszego blasku idzie witać człowieka, który został wyrzucony poza nawias literatury za zwykłe przestępstwo literackie i, przyzwyczajony do kontaktu z ministrami swszystkich obozów, kłania się plagjatorowi, dlatego, że Sowiety mianowały go "ministrem". Jedno jest ciekawe. O czem też rozmawiali ci dwaj nowokreowani przeciwnicy "sanacji"? Prawdopodobnie o dawnych czasach, kiedy pili z "sanacją", pisali w "sanacyjnej" prasie i zarabiali na sanacji piękne grosze.

ROSE BAILLY

Artykuł, który dziś zamieszczamy o "Kapliczkach polskich we Francji" wyszedł z pod pióra jednej z najszlachetniejszych i najbardziej oddanych przyjaciółek naszego narodu. Pani Rose Bailly, założycielka, sekretarka generalna, a przedewszystkiem dusza towarzystwa "Les Amis de la Pologne" we Francji oddała swój prawdziwy talent literacki, swoją energję niezmordowaną i naprawdę całe życie — sprawie naszego narodu. Znana w całej Polsce jako "Różyczka" — tak ją nazwał kiedyś Boy-Żeleński — stworzyła ona ośrodki przyjaźni dla Polski we wszystkich miastach ważniejszych Francji i jej kolonji. Wygłosiła setki odczytów i zorganizowała niezliczoną ich ilość, wydała wiele książek i broszur, była pierwszą w każdej pracy i inicjatywie dla Polski we Francji podjętej.

Jak przez dwadzieścia lat niepodległości — tak i w najcięższych warunkach okupacji niemieckiej nie opuściła "Różyczka" naszej sprawy. Tropiona przez Gestapo, zmuszona ukrywać się — pracowała w podziemiach Francji dla polskich żołnierzy, pol

..ch jeńców i teraz pracuje znów z niezmordowanym zapałem — dla prawdziwej Polski, prawdziwego polskiego wojska. Najserdeczniej witamy drogą "Różyczkę" na łamach Tygodnika Polskiego.

PRO DOMO SUA

W Nr. 39 Tygodnika Polskiego ukazał się artykuł Wacława Śledzińskiego "Czytelnicy bez książek". Ktoś szlachetny i wraźliwy, powiedział nam, że użyte w nim o pani Zofij Kossak wyrażenie "uroczy agent najnowszego pozytywizmu", jest zdaniem jego lekceważące w stosunku do osoby, która ma wielką kartę w polskiem piśmiennictwie i walczyła z niezwykłą ofiarnością w Polsce Podziemnej. Notujemy ten głos, który nas doszedł. Ze swej strony chcemy powiedzieć, że autor artykułu jest sam uczestnikiem walk Polski Podziemnej i autorem pięknej książki "Swastyka nad Warszawą" że więc napewno ani wielkiego talentu pani Kossak, ani jej wielkiej roli w Polsce Podziemnej, jakkolwiekby zabrzmiało, jego wyrażenie nie chciał lekceważyć. Nie było to napewno i w intencjach redakcji, która być może będzie zmuszona polemizować stanowczo z różnemi dzisiejszemi poglądami autorki "Krzyżowców" nie zapomni jednak nigdy o jej zasługach dla literatury i jej roli w Polsce Podziemnej.

UWADZE PANA RZYMOWSKIEGO POLECAMY

Ukazała się w New Yorku książka Bertranda Russell'a "A History of Western Philosophy. — Polecamy ją uwadze przebywającego w Stanach "ministra spraw zagranicznych" w rządzie Osubki-Morawskiego pana Wincentego Rzymowskiego, który jak wiadomo, lubi bardzo do prac angielskiego autora zaglądać.

KAWALER JAŁTAŃSKI

W jednym ze swoich artykułów Zygmunt Nowakowski napisał o panu Mikołajczyku "kawaler jałtański".

ZUPEŁNIE JAK GOERING



Goering był wyśmiewany w całym świecie z powodu swej manji orderów i błyskotek. Podana przez nas fotografja przedstawia marszałka Żukowa, w towarzystwie generała brytyjskiego. Czytelnicy nasi ocenią z niej czy Sowiety, które mają czoło nazywać się "demokracją" nie są oszalałe tą samą co Goering totalistyczną manją honorów i świecideł i czy byłoby możliwe aby Żukow pokazał się w New Yorku w takich dekoracjach nie budząc wybuchów śmiechu naprawdę demokratycznej publiczności.

Listy do redakcji

15 PAŹDZIERNIKA

15-go października upływa termin w którym wszyscy Polacy, ukrywający się w lasach, górach, błotach i sitowiach nadrzecznych muszą wyjść z ukrycia i stawić się do rejestracji. Times podaje wiadomość, że nowe wojska sowieckie weszły do Polski ażeby wzmocnić garnizony. Polska została podzielona na 17 okręgów wojskowych. W każdym Okręgu władze cywilne polskie podlegają rosyjskiemu generał-gubernatorowi. Kto ukrywa się w lasach i górach? W lasach i górach ukrywa się była Armja Krajowa i chłopi, którzy gromadnie uciekają z domów, chroniąc kobiety i resztki własności przed gwałtami i grabieżą rosyjskich żołnierzy. Z dniem 15-go października ludzie ci są wyjęci z pod prawa. Garnizony rosyjskie posiłkując się steroryzowaną administracją cywilną będą urządzały obławy aby wytępić setki tysięcy najlepszych Polaków — tych, którzy najbardziej po bohatersku walczyli z Niemcami.

Rosja przysyłając nowe wojska do Polski wydaje bezbronnej Polsce nową wojnę.

Tak Rosja wykonuje umowę w San Francisco.

Nowa napaść na Polskę jest przykładem agresji z prawem veta napadającego — wobec Narodów Zjednoczonych.

Cóż na to Anglja i Ameryka?

Czy czekać będą na zniszczenie polskich patrjotów, którzy ukryli się przed gwałtem i grabieżą?

Czy czekać będą aż wszyscy Polacy zostaną wymordowani?

Zofja F-R.

POSZUKIWANIA

Ppor. Petelski Tadeusz, P. O. Box 160/4, G. P. O. London E. C. I, poszukuje swych stryjków Marcina i Michała Petelskich, którzy wyjechali do Ameryki w 1913 r. Są to bracia Władysława Petelskiego ur. w Sniatyniu woj. Stanisławowskie. Jeden z nich podobno mieszka w New Yorku, drugi w Bostonie. Istnieje możliwość, że zmienili nazwisko na Fitelsky.